

Oligarchowie na Ukrainie trzymają się mocno

8 listopada 2015

25 proc. poparcia dla różnych formacji prawicowych bojówkarzy, festiwal obietnic bez pokrycia, w które nikt nie wierzy, dwie partie o różnych programach, ale z tym samym sponsorem i Darth Vader – kandydat na mera Odessy. Demokracja na Ukrainie ma się coraz lepiej.

Wybory miały pokazać, jak wyzwolona spod rosyjskiej dominacji Ukraina zbudowała wymarzoną liberalną demokrację z wszelkimi jej atrybutami. W końcu, skoro Poroszenko i zaprzyjaźnieni z nim oligarchowie postawili na kurs proeuropejski, wypadało zrobić na Europie dobre wrażenie. Wyszło tak sobie.

Z uprawnionych do głosowania 36 mln osób (minus mieszkańcy terenów ogarniętych wojną i półtora miliona uchodźców wewnętrznych), zainteresowanie „świętem demokracji” wyraziło 46,6 proc. W Mariupolu, Krasnoarmijsku i Swatowem na wschodzie kraju obywatele głosować chcieli, ale nie mogli, bo komisje postanowiły nie wydawać im kart. Oficjalne wytłumaczenie głosi, że te, które im dosłano, zawierały błędy, bo drukowała je firma związana z potężnym oligarchą Rinatem Achmetowem. Nieoficjalne – że w ten sposób rządząca ekipa postanowiła chociaż w jednym miejscu zablokować najsilniejszy na wschodzie Blok Opozycyjny. Podobnych większych i mniejszych wpadek monitorująca wybory organizacja społeczna OPORA naliczyła 1052. Jest też problem z liczeniem głosów już oddanych, bo wybory odbywały się według nowego, skomplikowanego systemu, z którego nikt członków komisji wyborczych nie przeszkolił. Ogólnie jednak obserwatorzy stwierdzili, że głosowanie było w porządku, o fałszowaniu nie ma mowy. Była pełzająca dyktatura, jest demokracja. Czyli jest dobrze.

Zmiana formalna nie oznacza jednak zmiany jakościowej. Ponad

połowa mieszkańców i mieszkanki Ukrainy nie poszła do urn – byli bowiem przekonani, że głosowanie i tak nic nie da. Co z tego, że w całym kraju swoich kandydatów wystawiły 134 partie i komitety. Tajemnicą poliszynela pozostaje fakt, że większość z nich finansowana jest przez co najmniej jednego z oligarchów. Niektórzy, jak Ihor Kołomojski, wspierają po kilka ugrupowań naraz; potentat z Dniepropetrowska wypromował na wybory równocześnie centrową formację Odrodzenie i skrajnie prawicowy UKROP. A kandydaci, zapytani o program, najchętniej rozprawiali o polityce zagranicznej i wojsku, obiecywali też podwyżki płac i emerytur. To nie są zadania samorządów? I co z tego?

W tej sytuacji wśród głosujących bezkonkurencyjny okazywał się kandydat „Mniejsze Zło”, objawiający się, zależnie od kontekstu, pod różnymi postaciami. Najczęściej miał, mimo wszystko, twarz obecnego prezydenta. Wprawdzie na Ukrainie korupcja po dawnemu jest stałym elementem krajobrazu, zapowiadanych reform nie wprowadzono, szaleje inflacja i bezrobocie, ale dla większości wyborców z zachodu i centrum kraju prezydent i tak bardziej niż ktokolwiek inny zasłużył na kolejną szansę. Według wstępnych wyników Blok Petra Poroszenki (do niedawna Solidarność) zebrał 25 proc. głosów i będzie rządzić w 14 obwodach Ukrainy. Nieco ponad 13 proc. wyborców pokazało Poroszenke żółtą kartkę, głosując na Batkiwszczynę (Ojczyznę), partię Julii Tymoszenko. Według niektórych analityków ta wielokrotnie skompromitowana formacja wróciła tym samym do pierwszej ligi ukraińskiej polityki. Ok. 7 proc. nadal wierzy w nową polityczną jakość i zagłosowało na Samopomoc, partię tworzoną przez mera Lwowa Andrija Sadowego. Wyniki tych dwóch partii to pierwsze poważne ostrzeżenie dla Poroszenki. Obie deklarują podobne cele, co formacja prezydenta – i mogą tym samym przejąć jego elektorat, jeśli Poroszenko popełni w końcu na tyle poważne błędy, by rozczarować wyborców tak, jak jego dwaj poprzednicy.

Drugie ostrzeżenie dla rządzącej ekipy to wzrost poparcia dla

radykałnych nacjonalistów. Do nich będzie należał zachód kraju, poza Lwowem, gdzie sukces odnieśli ludzie Sadowego. Nacjonaści ze Swobody wzięli Tarnopol i Iwanofrankiwnsk, UKROP (określający się jako partia „prawicowo-patriotyczna”) – Łuck i obwód wołyński. Jest jeszcze Partia Radykalna Ołeha Laszki, która wprowadziła swoich ludzi do 14 rad obwodowych i 6 miejskich. Skrajnie ksenofobiczne, agresywne zwłaszcza względem Rosjan, faszyzujące hasła – coś takiego za najlepszy program dla Ukrainy uznała, jeśli zsumować wyniki wszystkich „patriotycznych” partii, jedna czwarta głosujących.

Tradycyjnie natomiast ukraińscy nacjonaści i ludzie Poroszenki przegrali na wschodzie i południu. W obwodach: zaporoskim, mikołajowskim, odeskim i dniepropetrowskim. Mniejsze Zło to nadal politycy Partii Regionów, obecnie startujący pod nazwą Blok Opozycyjny, nadal finansowani przez donieckiego oligarchę Rinata Achmetowa. Blok zakończył wybory na drugim miejscu z poparciem nieco ponad 13 proc., ale w odróżnieniu od odnotowującej podobny wynik Batkiwszczyny zadowolony być nie może. Formacja nie zdołała stać się punktem zbornym dla wszystkich rozczarowanych efektami proeuropejskiego kursu Ukrainy, nie przejęła elektoratu zdelegalizowanej partii komunistycznej. Zadziałała logika biznesowa: część działaczy Partii Regionów, zamiast ryzykować niepewny los w opozycji, wolała szybko zmienić barwy i przytulić się do nowej, postmajdanowej elity, czy to w ramach Bloku Petra Poroszenki, czy poprzez utworzenie lokalnych komitetów, udających twory świeże i oddolne. Emblematycznym przykładem takiego myślenia jest szczęśliwy zwycięzca wyborców na mera Charkowa, Hennadij Kernes (59 proc. głosów w I turze).

Zaczynał on swoją działalność w sferze publicznej jako lider zorganizowanej grupy przestępczej, potem zalegalizował interes, przez chwilę popierał tzw. pomarańczową rewolucję, by przejść do obozu zwolenników Wiktora Janukowycza. Po Majdanie w pierwszej chwili uciekł do Rosji, ostatecznie jednak wrócił i odtąd gorliwie popiera nowe władze.

Inna historia typowa dla ukraińskiej polityki rozegrała się w Dniepropetrowsku, gdzie oligarchowie stoczyli swoistą wojnę zastępczą. Pierwszą turę wygrał miejscowy oligarcha Ihor Kołomojski w osobie swojego kandydata Borysa Fiłatowa (dostał 37,94 proc.), ale jego przewaga nad człowiekiem Achmetowa Ołeksandrem Wilkulem (35,77 proc.) niczego tak naprawdę nie gwarantuje. Zdecydowanie bardziej pewny swego może być Witalij Kłyczko, urzędujący mer Kijowa i stronnik Poroszenki. W I turze dostał 40 proc. głosów; II tura, do której wszedł również bojówkarz Prawego Sektora Borysław Bereza z 8,7 proc. wskazań wydaje się formalnością. Analogicznie we Lwowie – Andrij Sadowy dostał 49,22 proc. i raczej wygra z Rusłanem Koszułynskim ze Swobody (12,25 proc.).

Śmieszno-strasznie było również w Odessie. I to bynajmniej nie dlatego, że jedną z list wystawił Blok Dartha Vadera i dostał ok. 7 tys. głosów. Urzędujący mer Hennadij Truchanow, dawniej w Partii Regionów, obecnie na czele własnego lokalnego komitetu, zebrał 52,9 proc. głosów i zostawił w pokonanym polu Ołeksandra Borowyka, człowieka szefa obwodowej administracji Michaila Saakaszwilego. obrońca demokracji Saakaszwili orzekł, że wybory zostały sfałszowane i zamierzał zorganizować przeciwko Truchanowowi jeśli nie kolejny Majdan, to przynajmniej uliczne demonstracje. Niestety, rzekomo oszukani obywatele nie wykazali zainteresowania.

Otwartym pytaniem pozostaje, jak będzie się owo zainteresowanie kształtować podczas II tury, jeśli w ogóle uda się ją sprawnie zorganizować. Po dwóch „kolorowych rewolucjach” nawet największemu optymiście trudno uwierzyć, że obecna klasa polityczna chce i jest w stanie zrobić dla społeczeństwa cokolwiek konstruktywnego. Tym, którzy z różnych powodów nie chcą z kraju emigrować, pozostaje nadzieja, że Europa będzie dalej zadowalać się demokratyczną fasadą i nie odetnie finansowej kroplówki dla państwa ukraińskiego. Bo jeśli stanie się inaczej, Kijów najpierw zbankrutuje, a potem swój odpowiednik Majdanu urządzią ultranacjonałisci. I nie

będzie to sympatyczne, rozśpiewane miasteczko namiotowe.

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Źródło: Strajk.eu